

MATYLDA SERAO

## UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA

MARYA TOCZYSKA

41

I.

Jesteś wierzącą Maryo, wiem o tem i ja również wierzę, odkąd Cię pokochałem, ale Ty nie możesz przecież przebaczyć temu człowiekowi, idąc w ślady Chrystusa, bo Chrystus był Synem Bożym, a my tylko nędzne istoty ulepione z ciała i krwi, a więc my przebaczyć nie możemy tym, którzy kusili na nasze życie. Czy wiesz, że ten człowiek chciał także zgładzić mnie ze świata? Czy wiesz, że usiłował zamordować mojego najlepszego przyjaciela, hrabiego Lambertini. Domyślam się w tem jakiejś podłości kobiecej, bo Ranieri kochał gorąco młodą, piękną dziewczynę, żydówkę – a teraz Ranieri jeszcze chory leży, młoda dziewczyna zaś znikła w niewyjaśniony sposób. Ja zaś tutaj schronić się musiałem! Tak, musiałem; fatalność czy przeznaczenie przywiodło mnie tutaj, do miejsca, w którym się znajdujesz, prowadząc mnie w te strony w sposób tak pewny, iż cudem nazwać to mogę!

Maryo! Ty zaufasz mi, prawda? Czy słowa moje, pełne miłości i uwielbienia mogą w Tobie lek budzić? Ty może czujesz wstręt, odrzę do miłości? Masz może w sercu ukryty obraz innego człowieka? Kto to wiedzieć może? Stanie się jak zechcesz. Jeżeli nie dozwolisz, więcej Ci o mojej miłości mówić nie będę! Wyratuję Cię tylko! Tak, Maryo, chociaż odrzucisz miłość moją, ja uratować Cię muszę! Ty cierpisz, płaczesz i rozpaczasz! Wiem o tem. Może ten człowiek kocha Cię wstrętą jakąś miłością i zmusza Cię do przyjmowania swoich ohydnych pieśzczy? Boże! Jakąż ja śmierć wynajdę dla tego potwora?

Maryo! posłuchaj mnie! Uwolnię Cię, zwrócę Ci wolność, a w zamian nic żądać nie będę od Ciebie. Być może także, że życiem mojem rozporządziłaś już, poświęciłaś się Bogu i słowa moje obrażają Cię. Więc o miłości więcej Ci mówić nie będę. Wyjedziesz ze mną daleko, bardzo daleko i żyć będziesz stosownie do własnej woli. Nie będę Cię nudzić rozpaczą moją ani prośbami, tylko pozostanę przy Tobie, jak wierny przyjaciel, obrońca i niewolnik. I czuć się będę szczęśliwy, że żyję przy Tobie, oddychając tem samem powietrzem, którem Ty oddychasz. Wierz mi Maryo, serce moje jest Ci oddane na zawsze. Może nadejdzie dzień taki, że i Ty mnie pokochasz, ale jeżeli nie nadejdzie nigdy – potrafię milczeć w cichości.

Maryo! Kim Ty jesteś? Gdzie jesteś? Co robisz? O czym myślisz, moja duszo jedyna? Jaka jest tragedia twojego życia? Jaki Twój stosunek do wstrętnego garbusa, który Cię więzi? Jak dawno jesteś przykuta do jego boku? Coś Ty mu uczyniła, że skazał Cię na tak straszne cierpienia? Wszystko to wyjawisz mi – nieprawdaż? Powierzysz mi tajemnicę swojego życia i to wkrótce – czuję, że stanie się to wkrótce. Tej nocy, zbliżyłem się do Ciebie więcej jeszcze, a jutro... może jeszcze wcześniej, o Boże! – będę przy Tobie Maryo i klęcząc jak przed męczennicą świętą, ucałuję rękę Twoją...

Maryo! należę do Ciebie duszą i ciałem.

Robert Alimena".

Po napisaniu tego listu Robert przeczytał go raz jeszcze i pomimo niedorzeczności i przesady namiętnej w nim wyrażonych, wydał się mu on zimnym i bladym. W pierwszej chwili chciał go nawet zniszczyć, ale pomyślał, że i takim jakim był, list ten spełni swój cel, jeżeli John zechce go wręczyć Maryi tej samej nocy jeszcze.

Zaledwie Robert ukończył czytanie, kiedy zapukano do drzwi i do pokoju wszedł defektyw. Dick Leslie zmieniony był do niepoznanienia. Okrywało go stare, zniszczone i wyplamione ubranie, koszula brudna i wystrzępiona – nos zaś Dicka był mocno czerwony, usta wykrzywione charakterystycznie.

– Dobry wieczór, Ekscelencyo – wymówił ochryplym, leniwym głosem.

– Dobry wieczór, Leslie. Wspaniale pan wygląda. Punktualność zaś pana jest wzorowa.

– Ale wygląd Ekscelencyi pozostawia w ele do życzenia. Czy tak ubranym chce pan udać się do takiej mordowni, jaką jest Druzy-Lane?

– Twierdzi więc pan, że to jest miejsce podejrzane?

– Nawet bardzo. Klientela, składająca się ze złodziei, włóczęgów i zbrodniarzy. Jeżeli ujrzą Ekscelencyę tak dobrze ubraną, zaczają się na rogu jakiej ulicy i zechcą skraść ubranie.

– A więc?

– Trzeba się przebrać koniecznie, włożyć to, co się ma najwięcej zniszczonego, zmieść, brudną koszulę, a przede wszystkim zdjąć wszystkie kosztowności. Ręk tylko nie zmienimy, zawsze będą białe i zdradzać będą pochodzenie Ekscelencyi.

– Czy tylko znajdę, co mi potrzeba – odrzekł Robert, przewracając niecierpliwie wszystkie szuflady szafy. W końcu znalazł coś, co mu się wydawało stosownem do podobnej wycieczki. Letnie, zmieś ubranie do polowania i kapelusz filcowy, któremu śmiejąc się, nadał kształt najdziwniejszy. Na koszulę, którą miał na sobie, nałożył drugą, nocną i przewiązał u szyi jaskrawym krawatem.

– Czy Ekscelencya ma pieniądze? – zapytał Dick Leslie, przyglądając mu się uważnie.

– W Londynie?

– Nie, tu, przy sobie?

– Tak. Około dwunastu tysięcy franków. Reszta złożona u moich bankierów.

– Trzeba te pieniądze złożyć u portyera z listem.

– Jakim listem?

– Ekscelencya nie pamięta widocznie, że wchodzimy w grę bardzo niebezpieczną. A jeżeli John nas zdradzi? Jeżeli nas wciągnie w zasadzkę?

– To prawda – szepnął Robert zamyślony. – Ale właściwie to ja nie dbam o to.

– I ja również. Wcześniej czy później skończy życie śmiercią gwałtowną. Kilka osób obiecało mnie już zamordować, ale ja śmieję się z tego. Dick Leslie jest filozofem, milordzie. Ale list jest konieczny.

– Być może...

– Ekscelencya napisze w nim, że jeżeli nie powróci za dni ośm, to będzie znakiem, iż został zamordowany lub też uwięziony przez doktora Markusa Hennera, garbusa. Należy także w liście dać swój adres, prosząc władze o wdrożenie śledztwa.

– A jeżeli dam podobny list właścicielowi hotelu – zauważył Robert, czy nie domyśli się zaraz, o co chodzi?

– Nie, to Anglik, a Anglicki wszyscy są ludźmi zimni i obowiązkowi. Ekscelencya powie mu: „Zachowa pan ten list, jeżeli nie wrócę za dni ośm, otworzy go pan, ponieważ zawiera ważne wskazówki i adres, pod którym odeszle pan złożone u pana pieniądze.

– Pewnym pan jest, że nie ulegnie ciekawości i nie otworzy listu wcześniej?

– Nie. Powiadam, że to Anglik.

– Czy mam wziąć trochę pieniędzy ze sobą?

– Trochę – ze dwadzieścia sztuk złota, ale trzeba je dobrze schować.

– A dla Johna?

– John nic nie robi interesownie. On jeżeli coś zrobi, to przez miłość dla swojej nieszczęśliwej pani.

– A broń bierzemy?

– Oczywiście, ale także ją ukryć musimy. Czy Ekscelencyi broń jest dobra?

– Oto jest.

Robert Alimena wyjął z pudełka dwa małe rewolwery doskonałej konstrukcji. Jeden z nich wręczył Dickowi Leslie.

– To prawdziwe cacko! – wyrzekł z zadowoleniem defektyw.

– Oddaję go panu na własność, Dicku.

– Dziękuję, mylordzie. Jest jeszcze broń inna?

– Ten sztylet...

– Dobry będzie.

– I ten nóż.

– Doskonały.

– Wystarczy?

– Oh! tak, mam zresztą jeszcze swój bokser. – No! – zaśmiał się Robert – jesteśmy chyba dostatecznie zabezpieczeni. – Czy tylko ten John przyjdzie?

– Obiecał mi solennie.

– Czy tylko dotrzyma obietnicy.

– Jestem prawie pewnym, że tak.

– Prawie?

– Tak, Ekscelencyo. Czy można w życiu być czegoś pewnym zupełnie?

– Chodźmy już, panie Dicku.

– Chwilę jeszcze. Niech Ekscelencya napisze ten list.

Robert usiadł z westchnieniem i opanowawszy zdenerwowanie pod dyktando defektywa, skreślił kilka słów spokojnie już i z zastanowieniem. Poczem zadzwonił i chłopcu pokojowemu rozkazał przywołać sekretarza hotelowego.

Sekretarz z obojętną, zimną twarzą, schował flegmatycznie do kieszeni pieniądze, dane mu przez Roberta wraz z zapieczętowanym listem i nie wymówiwszy ani słowa, skłonił się i wyszedł.

– Na którą godzinę mamy się tam stawić? – zapytał Robert po odejściu sekretarza.

– Na wpół do dwunastej – ale droga jest dosyć daleka.

– Weźmiemy powóz?

– Tak, lecz wysiadziemy z niego w pewnej odległości. Nie można zajeżdżać dorożką przed szynkownią Druzy-Lane.

– Rozumiem to. Jedźmy Dicku.

– Jeszcze chwilę. Czy Ekscelencya obiecuje panować nad sobą?

– Obiecuje...

– I milczeć...

– Tak.

– Choćby Bóg wie co tam mówiono?

– Tak, obiecuję solennie.

– To dobrze. Teraz jechać możemy.

Jedenasta godzina biła na zegarze Piccadilly-Hotel, kiedy Robert Alimena w towarzystwie Dicka Leslie wychodził ze swojego mieszkania.

Kiedy znaleźli się na ulicy, defektyw ujął go poufale pod ramię i zaczął coś do niego mówić z ożywieniem. Obydwaj mieli chód niepewny, powolny, jak gdyby pijani byli i uśmiechali się głupkowato do przechodniów.

W niedalekiej odległości od hotelu, Dick Leslie gwizdnął na dorożkę i zaledwie wsiedli do niej, sztuczny ich humor opuścił ich natychmiast. Siedzieli bez słowa, zamyśleni, pochłonięci przebiegiem śmiałego i niebezpiecznego przedsięwzięcia.

Jakiś czas powóz toczył się wzdłuż ulic szerokich i jasno oświetlonych, pełnych przechodniów i ruchu, poczem z głuchym turkotem przejechał most i wydostał się na ulicę węższą już, ciemniejszą i pustą.

Nagle Dick Leslie, który przez cały czas palił nieodłączną swoją fajkę, zapukał w szybę i dorożka zatrzymała się natychmiast.

– Jesteśmy już na miejscu – zapytał cichym, niespokojnym głosem Robert.

– Jeszcze nie.

Defektyw zapłacił dorożkarza i stał chwilę patrząc za oddalającym się powozem. Kiedy turkot kół zamilkł już w oddali, Dick Leslie ujął z powrotem ramię swojego towarzysza i zagłębił się z nim w uliczkę pustą i bardzo źle oświetloną. Jakiś czas szli w milczeniu. Robert, im bardziej zbliżała się stanowcza chwila, stawał się niespokojny i zdenerwowany. Przeszli jeszcze parę ulic i nareszcie znaleźli się nad brzegiem Tamizy. Rzadkie latarnie gazowe rzuciły niepewne i drżące światło, chwiejąc się pod naporem wiatru, silnie dmuchającego nad wodą. Wszystkie sklepiki, znajdujące się wzdłuż wybrzeża, były zamknięte. W dali tylko migotało jakieś światło.

– Jesteśmy już – szepnął gorączkowo Robert.

– Zaraz, zaraz – odpowiedział spokojnie Dick Leslie.

Przed niskimi drzwiami, zakrytymi od strony wewnętrznej czerwoną, wełnianą firanką – kołysała się latarnia o szklach czerwonych.

– Oto szynk „Pięknej Edyty” – oznajmił defektyw, zatrzymując się.

Robert przed wejściem objął bystre spojrzeniem ulicę ciągnącą się wzdłuż wybrzeża. Miała ona szczególnie ponury wygląd. Wody Tamizy szemrały smutnie i złowrogo – wybrzeże było zupełnie puste.

– Można by tu swobodnie zabić i utopić człowieka w kilku minutach – wyrzekł Robert Alimena, wstrząsając się nerwowo.

– To pewne – potwierdził Dick Leslie – ale my nie damy się zabić tak łatwo. Chyba w ostateczności.

Wymówiwszy te słowa, otworzył drzwi szynku i wszedł do środka – za nim postępował Robert.

Szynkownia „Pięknej Edyty” składała się z obszernej, niskiej izby, sklepionej ciężko. Sufit jej zdawał się przytłaczać siedzących w niej gości. Po lewej i prawej stronie mieściły się stoły, pokryte czarną, zniszczoną ceratą i ławki drewniane z oparciami wysokimi.

(Ciąg dalszy nastąpi).